

tygodnik katolicko-narodowy dla stanu średniego.

W Poznaniu, dnia 14go Października 1881.

Wychodzi co Piątek.

Wydawca:
Wojciech Simon
w Poznaniu.

Przedpłata czwóroczna 3 złp. = 150 fen.,
pod opaską 3¹ złp. = 175 fen.
ogłoszenia po 15 fen. od wiersza drobnego.

Redaktor:
Jan Nep. Białoszyński
w Poznaniu.

PROMIENISCI.

Napisał

Ign. Kł.

(Ciąg dalszy).

Spokojne i poważne były posiedzenia filomatów, również jak ten, który im przewodniczył; wesołe, poufale i przewiane gorącym tchem serc wiośnianych ich schadzki pozakółkowe. Nieustannie obcując ze sobą, porą ciepłą filomacji robili wycieczki w uroczę okolicy Wilna, zimowe wieczory skupiały ich u kominków w pokojikach studenckich. I czy tam nie było można ogrzać serc, gdzie zagorzały płomieniem ognistym geniusze wielkiego Tomasza i Adama?

Tomasz był nie tylko powszechnie wykształconym, ale i wielkim znawcą muzyki i poetą. Miał dar żywego opowiadania i improwizacji, a najczęściej wpadłszy w uniesienie, opowiadał o chwilach dziecięcego żywota, lub śpiewał z towarzyszeniem dwóch swych braci, Stefana i Ignacego. Powiadali towarzysze, że w takich chwilach namaszczenia z ocz i czoła tryskały mu promienie, ujmujące serca słuchaczy. Później opromienionych miłością Tomasza nazwano *promienistymi*. Wprawdzie tylko dla rozrywki zajmował się Tomasz poezją, lecz i tak był poprzednikiem Adama i pisał wiersze mniejsze, pieśni, balady, elegije i poemata większe.*) Balady i tryolety, do których sam dorabiał muzykę, śpiewali jego koledzy. Elegiją zaś pewną, napisaną z powodu odjazdu pensjonarki Felicji, Adam aż do zupełnego zniszczenia przy sobie nosił i odczytywał, a był we Felicji Tomasz „tak platonicznie zakochany, że i ona sama o tém nie wiedziała“. Do najwdzięczniejszych tryo-

letów należy następujący, do którego muzykę dorobił Moniuszko.

Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilij i tymianka?
Ach, jak szczęśliwy młodzieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec!
Pewnie dla twego kochanka
Wydadą łzy i rumieniec?
Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilij i tymianka?

Jednemu oddajesz wieniec
Z róż, lilij i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec.
Ty jednemu oddasz wieniec;
Zostawć łzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka,
Gdy szczęśliwy bierze wieniec
Z róż, lilij i tymianka.

Napisał Tomasz tryolet ten na upomnienie kochanki Adama, Maryli, oddającej rękę nie ulubieńcowi młodości, lecz za wolą rodziny hrabiemu Putkamerowi. Nie mniej piękny jest tryolet następujący.

Wróć, Feli, spokojność moją,
Bo nie wiem, co będzie ze mną;
Kocham, trwożę się i boję,
Wróć, Feli, spokojność moją!
Albo zakryj krasę twoją,
Albo kochaj, bądź wzajemną,
Wróć, Feli, spokojność moją,
Bo nie wiem, co będzie ze mną!

Większy dar improwizowania niż Tomasz miał nasz wielki Adam. Młodociany wieszcz, jeżeli stanął w gronie towarzyszków, potęgą słowa, które to płynęło potokiem, to się wznosiło do wyżyn gwiazd, to spadało tęczobarwnymi kaskadami, porywał słuchaczy na wysokości, do których myśl powszedniego człowieka nigdy się wzniesie, do szczytności, „której wzrok ludzki nigdy nie dosięże“. W jednej z chwil natchnienia zaimprovizował Ode, w której niejako w zwierciadlanym źródle odbijają się wyraźnie dążenia owoczesnej młodzi, cele towarzystwa filomatów. Oto wzniosła jego improwizacja:

„Bez serc, bez ducha — to szkieletów ludy:
Młodości, podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wlecieć światem
W rajska dziedzinę uludy,
Kędy zapal tworzy cudy,

*) W liście do Maryji Wereszczakówny Putkamerowej Zau następujące wymienia poezje: *tryolety*; *pieśni tuchanowieckie i majowe*; *ballady*: Neryna, Pan Twardowski, Świętę, Cyganka, Aryjon, poeta; *elegije* do Oktawii Frejend, do Izabelki, do Felicji Marcewiczówny; *wiersze*: Urodziny, Robótka, Dzień świętej Katarzyny, Koteczka, Dziewica biała, Pielgrzym, Na imieniny Adama; *poemata*: Tabakierka, Piłka, Forteca, Polowanie, Sielanka; tłumaczenia ze Szylera, Byrona.

Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła.

Niechaj. kogo wiek pomroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy!

Młodości, ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca!

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia,
Obszar gnuśności zalany odmgłem:

To ziemia!...

Patrz, jak nad jęj wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie!
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb' wali,
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali:
A wtém jak bańka prysnął o szmat głazu!
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby;

To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dziele:
Serca niebiańskie nie poji wesele,
Kiedy je razem nic nie wiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wspólném wszystkich cele.
Jednością silui, rozumui szaleń,
Razem, młodzi przyjaciele!
I ten szczęśliwy, kto wśród zawodu
Legł świetnym wiedzion zapaleń;
Bo jeśli poległ on eialem,
Dał innym szczebel do sławy grobu.

Razem, młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu.
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu.

Dzieckiem w kolébce, kto łeb urwał hydrze,
Młodzieńcem zdusi centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba sięgnie po laury!

Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam', czego rozumnie złamie.
Młodości, orla twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramię!

Hej, ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opasmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!
Dalej z posad, bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
A spleśniałej zbywszy kory,
Zielone przypomnisz lata!

A jaka w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem: „Stań się“ z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie,
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia!

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha...
Żywioły chęci jeszcze są we wojnie.
Oto młodość ogniem płonie;
Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Miłość go pocznie w swém łonie,
A przyjaźń we wieczne utwierdzi spójnie.

Pryskają nieczułe lody,⁴
I przesady światło ćmiące...
Witaj, jutrzeńko swobody,
Za tobą zbawienia słońce!

Gdy Zan lub Mickiewicz improwizować przestali,
począł Jan Czczot śpiewać ruskiem narzeczem, a gdy
wszyscy umilkli, Pietraszkiewicz, który jedyny z wszyst-
kich wąs nosił zawieszysty, zanucił na głos Ode Książ-
nina:

„Ozdobo twarzy, wąsy pokrętnie,
Powstaje na was ród zniewieściały...”

FILARECI.

Wiosna roku 1819go zawitała i w młodych du-
szach filomackich zadrgało nowe życie. Poczuli, że kółko
ich jest za zbyt małe. by wpływem swym mogło u-
trzymać ducha narodowego w sercach tak licznej mło-
dzi uniwersyteckiej. By poznać, jakiego są usposobienia
uczniowie, za wpływem Zana, który mając wielu pod
opieką znał nie mało uczniów uniwersytetu, zaproszo-
no wszystkich jego miłośnią opromienionych na majów-
kę na Popławy, wzgórze o milę od Wilna odległe.

Słońce co dopiero poczęło bieg po czystym nie-
bios przestworze, gdy grona młodzieńców z piosnką
wesołą na ustach ku Popławom zbliżać się poczęły,
gdzie na przybyszów czekały świeże mléko, ciasta i
chleb.

Najpóźniej przybył Zan w towarzystwie kilku mło-
dzieńców. Przywitano go śpiewem i otoczono kołem.
A gdy pieśń przebrzmiała w ciszy niedzielnego poran-
ku, Zan przemówił serdecznie, z natchnieniem. Wiersh
wygłoszony przez niego, a zawierający te same myśli
co Mickiewicza Oda do młodości, wywarł na młodzień-
cach w imieniu odradzającej się Polski zgromadzonych
wrażenie zbyt wielkie. Gdy skończył ten, w którym
wszyscy skupiali swą miłość, zaśpiewano pieśń drugą,
z której następującą końcówkę powtarzano chórem:

Pochlébstwo, chytróść i zbytek
Niech każdy przed progiem miotaj,
Bo tu mają swój przybytek
Ojczyzna, nauka, cnota.

Po pieśni poczęli zdatuiejsi popisywać się wierszem
lub prozą, wreszcie bawiono się wesoło, a gdy rozległ
się odgłos dzwonów wołających na niedzielne na-
bożeństwo, wrócili podzieleni na oddziały wszyscy
do miasta i udali się na mszę do kościoła Świętojań-
skiego.

* * *

Poznawszy ducha zebranych młodzieńców, uczuli
filomaci potrzebę, by najszlachetniejszych z nich związać
towarzystwem naukowém, urządzoném według wzoru
Filomatów i zarządzaném tajemnie przez pierwotne to-
warzystwo.

Po ponownych przechadzkach, młodzież, która się
okazała powolną, by się razem kształcić wiedzę, ducha i
serce, zebrawszy w miejscu bezpieczném złączyli towa-
rzystwem, i to tak, iż nikt się nie domyślał, że gło-
wnymi twórcami jego są Filomaci.

Ustawy równały się prawie zupełnie filomackim. Nazwano towarzyszków *Filaretami*, czyli przyjaciółmi cnoty, i podzielono na grona wedle gałęzi i nauk, którym się członkowie oddawali. Zdarzyło się, że na czele prawie każdego koła stał Filomata. Całym towarzystwem zarządzał główny przewodniczący. Na posiedzenia jednego grona mogli przychodzić członkowie drugiego, a prócz tego wysyłały grona na wszystkie posiedzenia innych swych delegatów.

Od tego czasu odczyty na posiedzeniach Filomatów były zbyt częste; zajmowali się na nich jedynie radzeniem nad kierownictwem i utrzymaniem towarzystwa filareckiego. Urządzili nadto zdolniejsi dla Filaretów odczyty prywatne.

Po za towarzystwem było pożycie Filaretów z członkami wiele ściślejsze niż z innymi uczniami, przyrzekano bowiem przy wstępowaniu nie zdradzać towarzystwa, zachowywać wzajemne braterstwo i przyjaźń. Bez wynagrodzenia pomagał jeden drugiemu w naukach i przyspasabianiu się do egzaminów. Majętniejsi wspierali uboższych przez zyskanie jim miejsc za guwernerów, tudzież w potrzebach zasiłkami pieniężnymi, ubodzy majątniejszych swym rozumem i swą wiedzą.

Na wykłady profesorów chodzili Filareci pilnie, a przytém utrzymywali czytelnia, dla której i ze zagranicy sprowadzali dzieła pouczające.

To też liczba Filaretów wkrótce urosła na 130 w samym Wilnie, liczba, która z dnia na dzień się pomnażała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczki po Australiji.

Obrazy, opisy i zdarzenia.

Zebrał i opracował

Fr. Xaw. Tuczyński.

(Ciąg dalszy.)

Prądy są owym regulatorem sprawiającym, że z wyjątkiem samych biegunów nie ma miejsc, aby tam nie mogły żyć stworzenia organiczne. Prąd ekwatoryjalny łagodzi klimat europejski, — jego to sprawą cieplej w Europie, aniżeli w tych samych okolicach co do położenia geograficznego w Ameryce lub w Azyji. Prąd zaś biegunowy chłodzi znowu temperaturę podzwrotnikową.

Następuje dać jeszcze chociaż krótkie pojęcie *falowania* morza. Jest ono bezpośrednim skutkiem uderzenia wiatru o powierzchnię. Wystawić to sobie możemy tak: podmuch wiatru uderza pod pewnym kątem w powierzchnię; woda w tém miejscu wzruszona i z miejsca wyparta, ucieka pod siłą wiatru. Ubiegający kawałek drogi, fala rozlałaby się i ucichłaby, ale bezustanne podmuchy nietylko że napędzają nowe fale, ale je wzmacniają jeszcze. Znana jest reguła, że chociaż słaby, ale regularny nacisk zdoła wielką wyrzucić siłę. Chcąc na przykład dzwon wiszący w ruch wprowadzić, trzeba go tylko w pewnych regularnych odstępach lekko

palcem popchnąć, a przez to tak się rozmacha, że go potem ledwo wielką siłą zatrzymać można.

To samo dzieje się z falami. Woda raz w ruch wprawiona, siłą wiatru regularnie jeszcze popychana, wznosi częstokroć swe fale niby wieże, pomiędzy niemi tworząc doliny odpowiednie wysokośćom wałów.

Rozbawianiona woda faluje nietylko na powierzchni, ale i spodem aż do samego nieraz gruntu. Skutkiem tego mamy na morzu rozmaite zjawiska, częstokroć straszliwe, a mianowicie pokazuje się owo wspaniałe, okropne *wrzenie morza*.

Zjawiska tego przez długie wieki nie mogli sobie ludzie wytłumaczyć. Dzisiaj wiedzą wszyscy, że to skutek falowania morza i zapierania się bałwanów na gruncie idących o skaliste, ukośnie w górę wznoszące się wybrzeża. W ogóle każda wypukłość dna morskiego, jeśli dochodzi do odpowiedniej wysokości, może być przyczyną wrzenia czyli łamania, zapychania się bałwanów.

Woda bowiem spodem idąca, czyli dolny bałwan, dobiegszy do wybrzeża, albo podwodnej skały, znajduje zaporę, która mu dalszy bieg tamuje. Zapiera on się tedy, wody jego wznoszą się i wzdymają i znowu w téj chwili nowy bałwan nadpływając, wzmacnia pierwszy tém bardziej. Trzeci, czwarty i tak dalej bałwan, nie mogąc dla parcia z tyłu odpłynąć na morze, musi coraz wyżej się piętrzyć, aż woda wzniesiona w górę, tworzy czasami ścianę na kilkanaście, kilkadziesiąt, a nawet kilkaset łokci wysoką. Doszedszy woda do pewnej wysokości, przelewa się, bądź to naprzód, bądź to w tył ze szumem i hukiem, o wiele silniejszym, aniżeli grzmoty i pioruny; a przytém wre i kipi, szumi i przewala się, ciskając w górę i w koło siebie całe potoki piany.

Zjawisko to trwa ustawicznie, większem jest ono podczas przypływu, a zmniejsza się z odpływem; na wielkich często zupełnie znika.

To się nazywa *wrzeniem morza*. Na głębinach trwa ono bezustannie, a niebezpiecznem jest dla każdego statku. Czasem bałwan porwie mniejszy statek, wyniesie go na kilkadziesiąt łokci wysoko na ową ścianę zapartą wody, a potem z przerażającą siłą rzuci jak piłkę w otchłań, z kąd już ratunku żadnego nie ma.

Ztąd też wszystkie statki starają się być zawsze na otwartém morzu, zdala od lądu. Ztąd też *nie wszędzie*, i nie na *każdém* wybrzeżu wylądować można, ponieważ owo *wrzenie morza* stoi na przeszkodzie. Czasami trzeba nad wybrzeżem wiele, bardzo wiele mil płynąć, nim miejsce zdadne wynaléźć się uda, aby bezpiecznie do niego zawinąć można.

Przypuszcza się zwykle, że morze tylko wtenczas się bałwani, kiedy wicher szumi po nad jego powierzchnią. Wprawdzie natenczas bałwany wznoszą się do najwyższej potęgi, morze wzrusza się aż do dna, ryczy i pieni się wściekle, jednakże i przypływy z odpływami, a nawet prądy są przyczyną nieustannego falowania.

Zdarza się czasami, że woda burzy się i bałwani, kiedy morze znajduje się w tym punkcie, że nie ma ani przypływu ani odpływu, ani też najbliższy wiatr się nie porusza. Tłómaczy się to tém, że właśnie w

tę chwili silny orkan gdzieś daleko na morzu huczeć musi. Wiemy, że wiatr wieje tylko pasami. W Poznaniu może być straszliwa burza z wichrem, grzmotami i piorunami, kiedy naprzykład w Kiszkanie śliczna panuje pogoda. Dalej wiadoma, że gdy we wodę wrzucimy kamień, to raz się wzruszywszy, powałuje (faluje) na wszystkie strony.

Zjawisko więc to powstaje natenczas, kiedy na pewnym, oddalonym miejscu silne dmą wiatry; woda natenczas nie tylko na powierzchni wiatrem dotkniętych faluje, ale i po bokach, czasami nawet w tył.

Pomiędzy wyspami, rafami i skałami, gdzie prądy i łamania się bałwanów o skaliste wybrzeża ustawicznie wody poruszają, naturalnie powierzchnia bezustannie musi być wałami pokryta, pomimo że wiatru nie ma.

* * *

To cośmy tu powiedzieli o ustawicznym ruchu wód morskich, było nam potrzebnem, aby odgadnąć przyczynę, dla czego naprzykład okręty płynące do Indyi Wschodnich tuż przy północnym krańcu Australii nie dotarły do tego lądu. Powiedzieliśmy, że cała Australia, raczej morze około Australii, zasiane jest rafami koralowemi. Jest ich tam tyle, że okręty tak pomiędzy niemi wymijać się muszą, jakby kto szedł przez bardzo gęsty las.

W tak ciasnym labiryncie raf i skalistych wysepek prądy i rozbijanie się fali dochodzi do najwyższej potęgi. Dawniejsze niedokładne narzędzia do zgłębiania dna morskiego, całkowita nieznajomość natury prądów, oraz liczne przypadki zaginięcia statków bez śladu, odrzucić musiały każdego żeglarza.

O ile żeglarze obawiali się owego morza zasianego skałami, wnieść można, że Australiją odkryto nie z najbliższej strony, płynąc z Europy prosto około Przylądka Dobrzej Nadziei w Afryce do zachodniej Australii, ale opłynawszy dopiero południowy cypel amerykański, z przeciwniej strony, czyli ze strony zachodniej.

II.

Odkrycia Australii; — Balboa; — Diaz; — pożarcie go przez dzikich; — Magielan; — odkrycie wysp; — Tasmania; — Cook; — dzicy; — odkrycia Cooka; — podróż Cooka; — niebezpieczeństwo; ocalenie; — rafowa baryera; — śmierć Cooka.

Pomimo tego, że Ameryka już była znana, jednakże nie wiedzano, co się za Ameryką, czyli na zachodnim jej brzegu znajduje. Właściwie cały ówczesny świat sądził, że Ameryka nie jest nową częścią świata, ale szukanemi Indyjami.

Dopiero Hiszpan Balboa, w roku 1513tym dotarł lądem aż do wybrzeża Peruwiańskiego. Natychmiast zaczął się domyślać, że Ocean Spokojny zapewne stoi w związku z morzem Indyjskiem.

Dla tego już w roku 1515 puścił się na odkrycie Juan Diaz de Solis. Jednakże nieszczęśliwy ten żeglarz nie dostał się ani nawet na drugą stronę Ameryki, gdyż opłynawszy południową Amerykę, o której nie wiedział, a o której sądził, że to nieznany mu ląd

po za Ameryką, wylądował w obszernej zatoce. Było to ujście rzeki La Plata. Diaz wyszedłszy na ląd, spotkał się z krajowcami, którzy na niego uderzyli, zabili go i upiekszy pożarli. Towarzysze jego, pozabawieni przewodnika, musieli wrócić z niczem do Europy.

Zdarzeniem tem nieustraszony, dzielny żeglarz Fernando de Magelhaens (Magielan), puścił się 10go Siernia 1519 r. na morze. Zaraz przy równiku dostał się w miejsce, gdzie panują wielkie cisze morskie, stokroć gorsze dla żeglarza, aniżeli burze. Okręt żaglowy potrzebuje bowiem wiatru, aby się mógł naprzód posuwać. Jeśli prąd płynie właśnie w tę stronę, kędy żeglarz udać się zamierza, natenczas powierza okręt falom owego prądu i spokojnie płynie sobie, nie troszcząc się o wiatr. Ale nie wszędzie są prądy i nie każdym prądem można płynąć do pewnego celu, dla tego wiatr dla żeglarza jest niezbędną potrzebą*).

Magielan musiał siedemdziesiąt dni stać na jednym miejscu, ponieważ najmniejszy powiew wiatru nie zadął w żagle. Wreszcie upragniona chwila nadeszła, wiatr żagle wydał i żeglarze ujrzeli wybrzeże lądu. Magielan sądził, jak i cała załoga, że owo wybrzeże jest końcem stałego lądu, i że już znajdują się na jego najbardziej na południe wysuniętym krańcu, ponieważ ku północy widzieli wielkie otwarte morze. Kiedy jednak wpłynęli do jednej przystani, przekonali się ku wielkiemu zmartwieniu, że woda była słodka, a zatem, że znajdowali się w ujściu jednej z ogromnych rzek stałego lądu.

Płynęli tedy kilka tygodni ku południowi, aż dopiero w Marcu r. 1520go dotarli aż do krańca stałego lądu, wyskakującego najwięcej na południe. Tu musiał Magielan wytrzymać ciężką, pięciomiesięczną zimę południową. Potem płynął w cieśninę zwaną Magielańską, a przepłynawszy ją w cztery tygodnie, wypłynął na otwarty Ocean Spokojny 27go Listopada 1520go roku.

Po kilku tygodniach płynąc na północny zachód, zawinęły okręty do Wysp Różbójniczych. Czas też już był wielki, gdyż na okręcie straszliwy głód dawał się we znaki. Załoga nie miała już ani odrobiny żywności, tak że stare skóry rznięto i robiono sobie z nich rodzaj zupy. Przez ciąg pobytu na Wielkim Oceanie widziano tylko dwie małe wyspy, ale dla słabości skał i straszliwego wrzenia zawinąć do nich nie mogli.

Płynąc dalej, odkryto Filipiny, gdzie Magielan stracił swe życie, a wreszcie Moluki. Ztąd popłynął okręt do przylądka Dobrzej Nadziei, a wreszcie dostali się napowrót do Europy, odbywszy pierwszą podróż naokoło ziemi.

Wyspy wzmiankowane należą do Australii — i ztąd Australia była odkryta; ale nikt o tem jeszcze nie wiedział, sądząc, że należą do Indyi, o które właściwie Magielanowi chodziło.

W kilka lat później popłynął w tę stronę de la Torre, który odkrył pierwszy wielką wyspę, zwaną dzisiaj Nową Gwineą, leżącą tuż przy północnym

*) Mowa tu tylko o okrętach żaglowych. Za czasów Magielana nie znano jeszcze parowców (Przyp. Aut.)

krańcu Australiji. De la Torre powiada w swym dzienniku, że mieszkańcy tego lądu byli czarni, z kędzierzawym, bujnym włosem, uzbrojeni dzidami i łukami.

Ponieważ mieszkańcy Nowej Gwinei, zwani Papuasami, zupełnie temu opisowi podobni, przeto nie ma wątpliwości, że przez de la Torre odkryty ląd był Nową Gwineą.

W roku 1605 odpłynęła znówu flota pod dowództwem admirała Quiros. Pomiedzy innymi znajdował się dzielny żeglarz Louis Vaez de Torres, który admirałowi towarzyszył. Jak zwykle flota popłynęła śladem Magielana. Odkryto najprzód Wyspy Nizkie, czyli wyspy Poamatu, a pominawszy wiele mniejszych, zawinęła flota do Nowych Hebrydów. Największa z nich jest wyspa św. Ducha, gdzie flota 1806go roku dnia 2go Maja stanęła na kotwicy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zamieć w górach.

Obrazek z wycieczki tatrzańskiej.

Była piąta godzina rano, gdyśmy się poczęli budzić ze snu, który nam wygodnie rozciągniętym na szerokich materacach w schronisku Hagi wydawał się rajska rozkosz. Poprzedniej nocy „halny“ wiatr kołysał naszym namiotem i całą prawie noc nie dał oka zmrużyć — teraz więc odsypialiśmy swoje, mogąc swobodnie wyciągać się na wygodnem pościu. Jakkolwiek bynajmniej nie podzielałam częstej u nas sympatyi dla Madarów, to jednak nie mogę im odmówić niektórych wielkich przymiotów. Do nich należy to n. p. że budują w Tatrach bardzo wygodne schroniska, gdzie drzwi zamykają się na klamki mosiężne, gdzie są żelazne piece itp. Nie dość na tém: właściciel lasów, leżących pomiędzy Szmeksem a jeziorem Szczerbskim, wystawił dla podróżnych schronisko, w którym mogą znaleźć bezpłatny nocleg i wypić za zdrowie dobroczyńcy „darmo“ butelkę piwa. Za pieniądze prócz tego dostanie tam i dobrego mleka, i kawy, i chleba z masłem, a po takim lukullusowym posiłku szczęśliwy „taternik“ wysypia się na wygodnym materacu, nie trapiiony przez „chrobaki“ żadne, i marzy o jutrzejszych wędrówkach po najwyższych szczytach Tatrów, które zachodzące słońce taka wspaiała powlekało barwą. Szczęśliwy, kto spędził noc letnią w schronisku Hagi!

Myśmy jednak po przebudzeniu się nie uczuli zbyt szczęśliwymi. Na dworze było szaro, szczytów ani śladu, szara mgła okryła wszystko, spuszczać się aż po nad wierzchołki otaczających schronisko smereków. Trzy dni wędrowaliśmy już po Tatrach, ciesząc się piękną pogodą. Wprawdzie pod Krywaniem owionęła nas mgła na przełęcz i ukradła kilka widoków — ale za to jak pięknie występowały nam z téj mgły kolejno różne wierzchy, gdyśmy się grzali w ciepłym słońcu u Szczerbskiego jeziora! Teraz słońce zniknęło, a mgła szara, a gęsta — to smutno.

Pan mecenas M., który ocknął się jeden z pierwszych, rzekł wchodząc do izby:

— Byłbym już panów dawno ze snu pobudził, tylko nie było po co. Iść w góry nie można. Pogoda się zepsuła i nie ma nadziei na lepszą. I cóż będzie my robili?“

— Ha, nie ma co, rzekł profesor Ch., przewodniczący naszej wycieczki, tylko tu musimy poczekać, aż się wyjaśni. Albo to nam tu źle? Zobaczmy, co będzie po południu.

Z pomiędzy ośmiu podróżnych, składających naszą wyprawę, połowa zgodziła się ze zdaniem profesora, druga połowa postanowiła najkrótszą drogą wracać do domu. Wszedł i Wojtek Roj, ulubiony przewodnik profesora, i nieśmiało wspomniął mu o powrocie do Zakopanego. Nie należał on do naszej wyprawy, tylko przywiódł poprzedniego dnia jednego gościa, a dziś miał go znów do domu odprowadzić. Być może, że zazdrość przemawiała przez usta Wojtka, że nie chciał, aby kto inny wodził jego pana po górach, kiedy on sam pilnuje w Zakopanem budowy jego domu. Może to po raz pierwszy profesor wybrał się w góry bez Wojtka. Cóż dziwnego, że go chciał do domu ściągnąć?

— Nie, kochany Wojteczku, nic z tego nie będzie: nie po to ja tu przyszedłem, abyś mię miał do domu odprowadzić, odrzekł profesor na propozycję zmieszanego Wojtka. Prowadź tych panów do domu przez Mięguszowską, ~~Hińską~~, ku Pięciu Stawom, to pójdziesz dwie, trzy, sześć godzin. Ale dajmy pokój, bo jak wyliczymy, to się pokaże, że na obiad staniecie w Zakopanem.

Zaśmialiśmy się serdecznie, usłyszawszy to wyrachowanie profesora, bo wiedzieliśmy dobrze, że musimy nog nie żałować, ażeby późnym choć wieczorem zdążyć do domu. Pożegnaliśmy resztę towarzyszy, stary Sabała zagrał nam na rozstaniu „słodyczkową“ i ruszyliśmy leśną drożyną, słysząc jeszcze długo nutę góralskich pieśni, którą coraz silniejszy wichur mięszał ze szumem smereków, pędząc przed sobą gęste ołowiane chmury.

Szliśmy parę godzin lasem. Potem droga podążyła w górę i wprowadziła pomiędzy kosodrzewinę. W miarę podnoszenia się doliny ostrość wichru dawała się coraz silniej naszym członkom we znaki. Wkrótce drobny a zimny deszcz kropić począł, zmniejszał się, to znów się wzmaczał, a kosodrzewina poczęła rzednąć i wstąpiliśmy na gęste trawy górskie; tu i deszcz na płatki śnieżne się zamienił. Byliśmy w pięknej dolinie Mięguszowskiej, ale zastanowić się nad jej pięknością nie było ani czasu, ani ochoty. Każdy myślał tylko o tém, jakby się zabezpieczyć od zimna i wilgoci, okręcał się szalem, okrywał „czuchą“ i strząsał z kapelusza krople wody, aby się nie staczały na ramiona. Humor jednak, zwłaszcza jak na niemiłe położenie, dopisywał wcale nieźle, a nawet jeden z podróżnych nucił krakowiaki i starał się żartami i przymówkami górali do śmiechu pobudzić. Stromy bok góry, na który nam się właśnie wspinać przyszło, powitaliśmy z radością prawie. Większe bowiem wyteżenie mięśni zagrzało ziębnące członki, których dotychczas nawet przyspieszony pochód dostatecznie rozgrzać nie zdołał. Kiedy jeden i drugi wspomniął, że wartoby

coś przekąsić, powstało ogólne przekonanie, żeśmy zgłodniali i zawołaliśmy na Wojtkę, który szedł przodem, aby przystanął i pozwolił wydobyć zapasy.

„Kiej chcecie pojeść, to was w lepsze miejsce zaprowadzę, odrzekł na to Wojtek, i zboczywszy nieco w prawo, skierował pochód w stronę małej dolinki, której dno wyściełały potężne złomy granitu, tworząc jaką taką osłonę od zimnego wichru ze śniegiem. Oryginalny widok przedstawiało nasze grono: każdy starał się wsunąć pomiędzy sterczące rozpadliny skał, a skacząc na miejscu, aby sobie nogi rozgrzać, zjadał co prędzej wydobyte z torby zapasy. Wojtek nie pozwolił długo się zatrzymywać, i znów gotowi do marszu stanęliśmy w rząd uszykowani. Rażno szedł pochód pod górę i zdążył na przełęcz, gdzie przystanął na chwilę. Pięknie tu podczas pogody, a teraz ponuro. Czerniące u dołu stawy, widziane przez mglisto-śnieżną osłonę, wydawały się być otworami niezgłębionych strasznych przepaści, a kłębiące się ponad niemi chmury, jak gdyby po to wznosiły się ku nam, aby nas otoczyć, porwać i strącić na dno otchłani. Lecz na te myśli złowrogie nie wiele było czasu, trzeba było schodzić z przełęczy i dążyć ku Illińskiej dolinie. Pędem zbiegliśmy ku dołowi, może ożywieni niejasną nadzieją, że tam będzie cieplej, zaciszniej — ale gdzie tam: biała powłoka pokrywała wszystko, szerokie płaty śniegu zwiększały ją coraz bardziej. Dokoła cisza. Wiatr nie mając o co szeleścić, przelatywał około nas niepostrzeżenie, czuliśmy go tylko po zimnem dotknięciu. Nagle coś zaszeleściło po pod Hrubym Wiérchem którego majestatyczne ściany, zwane „Wielkim i małym Ogrodem“ sterczały tuż przed nami. Wyteżyliśmy wzrok w tę stronę. W odległości kilkuset kroków stała kozica z młodem i patrzyła zdumionem okiem na wędrowców, którzy i w taką pogodę jeszcze jej spokoju nie dawali. Zrobiła kilka zręcznych skoków, znów się zatrzymała, w końcu puściła się pędem i znikła wraz z koźlęciem gdzieś w gęstych chmurach, co się od szczytu spuszczały ku dołowi w dolinę.

Pochód nasz stawał się coraz przykrzejszym. Gęste trawy w dolinie, z wiérzchu śniegiem pokryte, kryły pod sobą zagłębienia, napełnione zimną wodą, w której co krok nogi zanurzały się po kostki. Po trawach następowały ślizkie od śniegu kamienie, nie dające stopom naszym pewnego oparcia; to też jeden lub drugi padał co chwila, nie czując od zimna stłuczenia, nie wiedząc, że to boli. Z radością więc powitaliśmy ścieżkę, która kręcąc się wśród kosodrzewiny wchodziła w głąb lasu, prowadząc nas coraz niżej i niżej w dolinę. Co za wspaniały las! Gdyby była pogoda, toby się zamtąd wychodzić nie chciało, takie okazałe smereki dokoła, takie olbrzymie, powalone kłody, mchem i paprocią porośłe. Tu jeszcze siekiéra przemysłowca nie zdołała wyrządzić spustoszenia, które w wielu miejscach tak oszpeciło górskie krajobrazy. Bo też i nie łatwo ztąd ścięte drzewo spuścić na doliny.

Za lasem, wśród obficie porastającego szczawiu alpejskiego, wznosił się szłaś, opuszczony już o tę porę roku przez pastęży wołów. Niedbale sklecona budowa, nie tworząca dostatecznej osłony od śniegu i wichru, wydała nam się jednak wspaniałym przybytkiem.

Znalazło się w kącie ław kilka nie bardzo mokrych, kilka suchych kawałków drzewa i w parę minut jaśniał już w środku szłaś wesoły ogień, ku któremu wszyscy zwrócili przeziębłe ręce i nogi. Para z przemokłego odzienia powstająca, napełniła cały szłaś.

Wnet i woda zawrzała, a ożywcza „herbę“, piliśmy jako prawdziwy nektar, co nas pokrzepił i dodał dobrego humoru. Za kilka godzin staniemy już w Zakopanem, myśleliśmy sobie, to też nasza biada się skończy. Ani nam na myśl przyszło, że właśnie najgorszą przeprawę mamy jeszcze przed sobą.

Pomimo że wspomnienie zacisznej chałupy tak nam było pożądanem, to jednak nie bardzo chętnie opuszczaliśmy nasz chwilowy przytułek. Na dworze szalał wicher i grube płaty śniegu, które już i ziemię i las poblizki w zimową odzież przybrały. Zagrzałismy się i osuszyli przy ognisku na to, aby teraz znów ziębnąć i moknąć? Ale nie ma co, trzeba ruszać, bo czas nagli.

„Bierzcie się wartko“, wołał Wojtek na resztę przewodników, leniwo zwięzujących swe torby i ruszył przodem, a my podążyliśmy za nim na przełęcz. Parę dni temu, przy zniżającym się ku zachodowi słońcu, byliśmy właśnie na Zaworach (przełęcz), rozkoszując w bogactwie barw i przepychu światła. Teraz tak tu jednostajnie, zimno i dziko. Przed nami dolina Pięciu Stawów rysuje się niewyraźnie — ku niej nasza droga prowadzi. Brniemy w śniegu coraz głębiej, w miarę zniżania się w dolinę. Ani śladu jakiegobądź życia, ani krzaczka, ani trawy nie dostrzédz, — wszystko pod grubą śniegu powłoką, tylko tu i owdzie urwisty bok skały się czerni. Dalej droga zawalona wielkimi bryłami granitu, w pośród których torujemy sobie pochód z trudnością. Kamienie mokrym śniegiem okryte, stały się ślizkimi, śnieg przypruszył szczeliny, noga się często zapada i tłucze o krawędzie. Wiatr dmie tak silny, że trudno równowagę utrzymać; ręce skostniałe niewielką oddają usługę, bo i kij utrzymać w nich trudno, lecz obawa zostania w tyle każdemu sił dodaje. Niebezpiecznie też od reszty się odłączyć, bo śnieg tak ruchliwy, że ślady kilkunastu ludzi w jednej chwili zacięra, a wiatr głośnie wołanie gdzieś pomiędzy skały unosi. Idziemy, mijamy stawy, których zaledwo brzegi widoczne nam w śnieżnej pomroce, brniemy znów w zaspach śnieżystych i stajemy u stóp Zawratu. Przed nami ścieżka wężykiem się pnie pod górę, dalszy jej ciąg ginie w mgle, co się słoczy tam wyżej. Trafić tak do celu w czasie szalonej zawieji, nie zmylić ani na krok z kierunku pochodu, chyba tylko jeden Wojtek potrafi.

„Kiedysmy tu zaszli, to już dobrze“, odzywa się zadowolniony z nas i ze siebie przewodnik. „No, bierzmy się dalej“ woła i dążymy gęsiego pod górę. Im wyżej, tém coraz zimniej, mokra odzież zamarza, robiąc się sztywną jak drewno, lodowe sopłe osiadają na twarzach, czucie w rękach znikło prawie zupełnie. Machinalnie stąpamy ciągle szeregiem, nikt nie pozostaje w tyle.

Na przełęcz spoczniemy, więc teraz nie żałujemy sił, aby na nią zdążyć co rychlej. Lecz jeżeli zwa- wo drapaliśmy się na szczyt Zawratu, tośmy jeszcze

prędzej musieli ztamtąd uciekać. Mroźny wiatr z północy sywał nam w oczy już nie płaty śniegu, ale zlodowaciałe ostre krupy, a tak był przejmujący, że nie stanąwszy ani na chwilę, puściliśmy się pędem ku dołowi. Brnęliśmy w śniegu powyżej kolan. Kamienie, które z Zawratu tak się łatwo staczają i nienważnych wędrowców, nie trzymających się w pochodzie zbitego szeregu, na niebezpieczeństwo narażają, teraz leżały spokojnie pod śnieżną powłoką. Raz tylko usunęła się większa bryła i poczęła pędzić ku dołowi, prosto na idących przodem towarzyszy, lecz nagle podskoczywszy ugrzęzła w wielkim wale śniegu i nie poszła dalej. Pędziliśmy bezładnie jak stado spłoszonych owiec, chcąc stanąć na dole zanim się ściemni zupełnie, a ciemniało szybko, mgła gęstniała coraz bardziej. W miarę zniżania się w dolinę Gąsienicowych stawów, czuliśmy, że śnieg pod stopami jest coraz miękkszym, miejscami zupełnie rozmokłym. W pomroce wieczornej czerniały turnie dokoła, widocznie, że tu już mniej padło śniegu, albo też prędzej stopniał; szum spadającej wody ze wszystkich stron ku dolinie wskazywał, że tu znacznie cieplej być powinno, czegośmy wszakże sami na sobie uczuć nie mogli. Doznaliśmy za to nowych, a wcale nie miłych wrażeń; czekały nas nowe niespodzianki. Droga po wielkich kamieniach, w górnej części doliny, w porównaniu do tego, cośmy przebyli, wydała nam się dobra prawie. Gdyśmy jednak stanęli u brzegu Czarnego Stawu i weszli na równiejszą ścieżkę, tośmy byli przekonani, że idziemy nie brzegiem stawu, ale jego łozyskiem, tak mokro było pod nogami. Kałuże ze stopniałego śniegu, strugi wody do stawu się zlewające przecinały nam drogę; trzeba było brnąć po wodzie, bo po bokach gęsta kosodrzewina nie pozwalała zboczyć na stronę. Po zimnych okładach ze śniegu, zimna kąpiel w tych roztopach, to prawdziwie z deszczu pod rynnę. Lecz i ta bięda się skończyła; wyszliśmy na suchszą łąkę i przemokli, zabłoceni, dobywając sił ostatek, dobiliśmy się do jednego z szałasów, w których jaśniał ogień. Kilku juhasów i młodych dziewcząt powitało nas, ofiarując gościnność w szałasie.

Brakło tam drzwi wprawdzie, a szczeliny w ścianach były dość przestronne, aby wiatr swobodnie bujał we wnętrzu, ale nie było wyboru. Spoczynek przy ognisku, gorące mięko i żętyca, spijana garstkami, nie mało nas pokrzepiły, i po krótkiej naradzie puściliśmy się ciemną nocą w dalszą drogę, zostawiając w szałasie towarzysza, który nie miał ochoty szukać nowych przygód. Głównia porwana z ogniska, przyświecała nam aż do granicy lasu. Deszcz jej nie zgasił, bo ustał, zanim opuściliśmy szałas. W lesie za pomocą żywicy i smolnej kory sporządzono dwie pochodnie i przy ich fantastycznym blasku stanęliśmy niedługo w Zakopanem.

„No, jak chodzę z panami po górach, to jeszcze mi się taka bięda nie trafiła“ rzekł Wojtek, gdyśmy go zegnali, serdecznie dziękując, że nas cało do domu zaprowadził. Niebo było pogodne, gdyśmy przed jedenastą w nocy wstępowali w progi naszych chałup.

Jasny poranek dnia następnego słicznie oświecił szczyty, całe bielejące w promieniach słonecznych, a przygody wczorajsze wydawały się jakby sennym marze-

niem, które wywołał widok gór, tak pięknie w śnieżną szatę przyodzianych.

Zakopane, we Wrześniu 1881 roku.

S. K.

Przygody Wielkopolanina w służbie Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki podczas wojny domowej tamże.

(Ciąg dalszy.)

Co najgorzej, zasięwali koloniści europejscy pomiędzy Indyjanami niemożebność zrozumienia, żeby Bóg tych białych braci ludzi, w którego ci wierzyli, do którego modły zanosili, miał być lepszym od bogów i Stwórcy, którego dzieci Indyjanie uznawali i cześć mu oddawali, składając mu ofiary i dziękczynne dary, udzielanych im przez ducha światłości obficie, nie broniąc przytém żywić się płodami stworzonej przez niego natury.

Takie to zdania słyszałem od Indyjan uzalających się na Jankesów i te tu powtarzam, aby wskazać czytelnikowi, że nie cała wina spada na Indyjan za to, że zostali już nieoiledwie wytępieni w Stanach Zjednoczonych, bo za lat 100 nie pozostanie tam już ani śladu z owych pierwszych mieszkańców i panów północno-środkowej Ameryki, jeżeli i nadal pozostałe resztki w podobny sposób jak dotychczas nawracane zostaną do przyjęcia cywilizacji od przybyszów, chciwych łupu i zysku i zasłaniających się i swe samolubne dążności i postępkę znakiem Krzyża świętego, to jest owym godłem największej miłości i poświęcenia jednostki dla uszlachetnienia rodzaju ludzkiego.

Obeznawszy w krótkości Czytelnika z mojami zapatrywaniem i spostrzeżeniami co do Indyjan, powracam do opisu wydarzeń i przygód, doznanych w armii, a zwłaszcza co do owęj kolumny ruchomej, wysłanej dla zreknoskowania stanowisk nieprzyjacielskich po za St. Louis.

Otóż po tak niefortunnym marszu zmuszeni byliśmy zaniechać powziętego planu obejścia pozycji nieprzyjacielskich i zmieniliśmy front linii całej, a przez to codziennie nieoiledwie mieliśmy podjazdowe utarczki, w których czynny brałem udział i mogłem się przekonać, że konnica południowców była wytrwalszą i lepszą daleko od naszej, i przytém znała ten kraj swój przez nas zajęty i mogła atakować nas niespodziewanie nieraz i po za tyłami naszych skrzydeł. Obchodziła je ona forsownymi marszami i zmuszała całą naszą linią bojową wstrzymywać się od posuwania się naprzód; jednakże w końcu dla przewagi liczebnej sił naszych z artylerją liczniejszą od Południowców, posuwaliśmy się coraz to głębiej w kraj nieprzyjacielski i było już podówczas widoczną, że Północne Stany muszą w końcu zwyciężyć. Nam coraz to liczniejsze nowe siły zbrojne i zapasy nadchodziły z Waszyngtonu, i posiadaliśmy przytém środki olbrzymie materyjalne, o wiele przewyższające Stany południowe, którym dokuczał niedostatek broni, amunicji i pieniędzy brzęczących. Przytém z dniem każdym armije Stanów Północnych ulepszały się i stawały się wytrwalsze, a zdolności wojskowe, wywołane potrzebą, występowały na widownią w szeregach, przez co coraz to więcej mieliśmy zdolnych generałów i oficerów jeneralnego sztabu, którzy kształcili się na polu bitew. Jankesy nie potrzebowali już oficerów cudzoziemskich, których zresztą, o ile mogli, usuwali z ważnych stanowisk, bo namnożyło się w armii mnóstwo ofice-

rów z Europy z rozmaitych małych niemieckich państw, pomiędzy którymi nigdy nie dostrzegłem zgody; ci bowiem każdy chwalił swego króla, elektora, lub księcia, a poniżał wartość wojska innego państwa. Największy spór napotykałem pomiędzy oficerami pruskiej armii i austriackiej; ci nawzajem nienawidzili się i gdzie tylko mogli spierali się ze sobą. Bawiło to nieraz, słysząc, jak się te Niemcy kłóciły pomiędzy sobą o dobroć, mądrość i dzielność swych panujących. Słyszając nieraz takie dysputy i gorące rozprawy prowadzone pomiędzy oficerami z rozmaitych armii niemieckich państw i państw pod niebem i w namiotach wolnej Ameryki, przyszedłem do tego przekonania, że każdy Niemiec potrzebuje koniecznie króla lub księcia, któryby nim rządził i mustrował go, byleby mu pozwolił pić spokojnie piwo i filozofować zajadle nad teoryjami liberalnemi, nigdy tam nie dającami się wprowadzić w życie. Przypomnę też wraz z Francuzami i Włochami, którzy nie lubili Niemców, do tego przekonania, że Niemcy do utworzenia republiki dopiero podówczasby się wzięli, gdyby im to cesarz, król lub książę udzielił nakazał. Feodalizm i pożądlivość dobra cudzego, zarozumiałość na swą kulturę tak się już zagnieździły w społeczeństwie germańskiem, że wieków jeszcze na to potrzebować będą Niemcy, aby dawne owe tradycje raubryterów, wazalów, knechtów i najazdów na obce ziemie z owym odwiecznym Drang nach Osten zatrzeć się mogły w umysłach i w krwi pokoleń szczepów germańskich, które sądzą, że jedynie Niemcy zostali powołani przez Stwórcę do ukultywowania innych narodów, i że oni to mają na ziemi zaprowadzić ów porządek, żeby był jeden pastérz i jedna owczarnia. Z powodu też tej arogancji oficerów niemieckich nie żyliśmy z nimi w stosunkach serdeczno-koleżeńskich, a nawet rodowici Amerykanie okazywali im pewien rodzaj lekceważenia, twierdząc głośno, że oni jedynie za ich dolary, jako najemnicy, przyszli walczyć, i nieraz przypominali oni Niemcom owych knechtów, których sprzedawali królowi Anglii książęta Niemiec podczas wojny Stanów Zjednoczonych o niezależność. Anglija wysyłała całe pułki takich kupionych knechtów niemieckich dla uciemiężenia oswabadzających się Amerykanów. Wspominałem tu o tém, czego nas uczy historia powszechna, żeby czytelnik miał wyobrażenie o życiu prywatnem i koleżeńskiem oficerów w armii Stanów Zjednoczonych i nie sądził, żeby w Ameryce Niemcy posiadali tak wielkie wpływy i zachowanie w społeczeństwie czysto republikańskiem, które wie, co ma sądzić i czego się od nich spodziewać może w razie wojny z Angliją, do której rychlej czy później przyjść musi, jako pomiędzy dwoma kupcami, rywalizującymi i wydzierającymi sobie wspólnie korzyści z handlu zamorskiego.

Umieję też ocenić i w Ameryce dobre zalety i przymioty Niemców; przeto chętnie widzą ich oddających się tamże pracy w roli, zwłaszcza i w przemyśle, bo systematyczność i pracowitość narodu niemieckiego jest wzorem dla innych narodowości.

Pewnego dnia przybył też do naszej armii w odwiedziny Prezydent Linkoln w celu przekonania się o stanie owej armii, miałem przeto sposobność patrzeć z bliska na jego osobę i na jego całe otoczenie i postępowanie. Sam Prezydent był ubrany w czarne cywilne suknie, z kapeluszem cylindrowym na głowie i tak ubrany zwiedzał konno, otoczony bardzo nieliczną i skromną świtą, pojedyncze pułki

w obozach pod namiotami rozłożone. Otoczenie jego składało się z kilku delegatów Kongresu i Senatu, z kilkunastu generałów ubranych skromnie i z kilku zagranicznych oficerów, zostających przy ambasadach w Waszyngtonie i przybyłych z ciekawości wraz z Prezydentem. Wszędzie witany był Prezydent z prawdziwym zapalem przez szeregi. Lecz nie serwilistycznie i bez żadnych narad i form używanych w Europie odbywał on ów przegląd. Nieraz rozmawiał on swobodnie i po przyjacielsku z prostymi żołnierzami, chodząc pomiędzy namiotami w obozie i zapytywał się, czy nie cierpią niedostatku i czy wszystko odbierają to co im prawo z nakazu Kongresu wyznaczyło. Przyjmował zażalenia, podania, skargi i prośby, i nie można było nikomu wzbronić, żeby nie mógł mieć wolnego przystępu do osoby Prezydenta. Całą oznaką, okazywaną przez wojsko osobie Prezydenta — było to, że szeregi prezentowały broń, sztandary wznosiły się w górę przy odgłosie narodowego hymnu, a szeregi wołały: „Niech żyje Unia i Republika!“ Nie słyszałem nigdy, żeby wołano: „Niech żyje Linkoln!“ lecz zawsze z okrzykiem na cześć Prezydenta Republiki i Unii witano osobę tak skromną i popularną, a która jednak reprezentowała wolą 40 milionów narodu i milionową armią z ochotników złożoną. Razu pewnego Linkoln, otoczony naszym sztabem korpusu generała Hokera, podczas kiedy zwiedzał pewien pułk zdziesiątkowany w bitwie i odznaczony męstwem po kilka razy, bo odpierał w jednej bitwie bagnietem siedem razy całą brygadę południowców, zdjął cylinder z głowy i stał z odkrytą głową przez cały czas marszu przed nim tego dzielnego pułku, a kiedy przechodził przed nim cały poszarpany od kul nieprzyjacielskich sztandar, zbliżył się do niego, i podawszy rękę do uściśnienia chorążemu, ucałował z powagą i z czcią, malującą się w jego twarzy, strzępy orła Stanów Zjednoczonych, wyszytego na tym sztandarze. Orderów też żadnych nie było widać na piersiach generałów i oficerów, jedynie szeroka trzykolorowa narodowa szarfa, przewieszona przez piersi z wyszytym orłem Republiki z rozpuszczonemi w locie skrzydłami spoczywała na piersiach generałów i oficerów jeneralnego sztabu. (Dalszy ciąg nastąpi.)

Szarada.

Gdy mróz minie *pięrośwa* ginie.
Drugi macie w każdej szacie,
 Wspak me *trzenie* w alfabecie,
Wszystko rodak znany w świecie.
 Czy to w domu, czy za miedzą
 Swoji, obcy o nim wiedzą,
 W społeczeństwie naszym chorém,
 Zaczęj pracy jest doktorem.

Kto dobrze rozwiąże, otrzyma Kalendarz „G. Wielk.“ za pół ceny, tj. za 35 fen.

Logogryf z Nr. 300 odgadł dobrze: J. Czaplewski. ze Zblewa.

„Przyjaciel chorych.“

W wydanem pod tym tytułem przez Richtera księgarnię nakładową w Lipsku (Richter's Verlags-Anstalt in Leipzig) dziełku, znajdzie nie tylko chory pewne wskazówki do skutecznego leczenia swego cierpienia, lecz i zdrowemu podane są oparte na doświadczeniu rady, jak zapobiegać chorobie i jak ją w pierwszym zawiązku zwalczać. Broszurkę tę rozsyła powyższa księgarnia bezpłatnie i franco, zamawiający nie ponosi przeto żadnych kosztów jak tylko 5 fen. na kartę korespondencyjną.